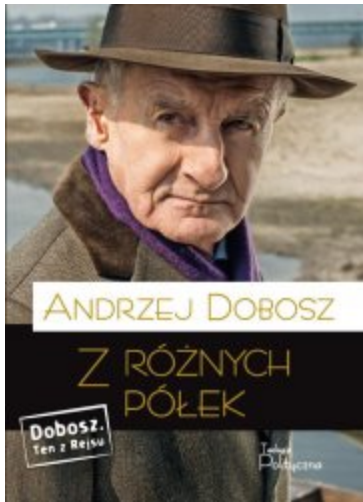


Andrzej Dobosz: Za ogrodem Metternicha

Dziś promieniowanie kulturalne polszczyzny należy na Ukrainie do przeszłości



Dziś promieniowanie kulturalne polszczyzny należy na Ukrainie do przeszłości - przeczytaj felieton z książki *Z różnych pól* Andrzeja Dobosza



W połowie XIX stulecia kanclerz Austrii

Klemens von Metternich żartował, że Azja zaczyna się za jego ogrodem, czyli już na wschodnich przedmieściach Wiednia. Sto lat później nawiązał do tych słów – już w tonie śmiertelnej powagi – Konrad Adenauer, twierdząc, że „Azja zatrzymała się na Elbie”. Do obu tych zdań odwołuje się wydany właśnie przez Kolegium Europy Wschodniej szczupły (139 stron) tom esejów *Ogród Metternicha* ukraińskiego pisarza Mykoły Riabczuka.

Ich tematem są nade wszystko doświadczenia człowieka urodzonego (1953) i wychowanego na wschód od ogrodu Metternicha; człowieka, któremu dopiero w roku 1987 pozwolono na przekroczenie granic ojczyzny, a zarazem od wczesnej młodości spędzającego czas w ogrodach nie tyle austriackiego kanclerza, ile europejskiej cywilizacji. Notuje, że zyskał tę możliwość – jak wielu jego rodaków – dzięki temu, że nauczył się polskiego. A w każdym większym mieście była księgarnia Drużba, w której oprócz pism Gomułki i Ho Szi Mina w oryginale można było trafić na Herberta, Różewicza i Dygata, przekłady nieistniejących w ZSRR dzieł Kierkegaarda, Heideggera, Borgesa, Becketta, Joyce’a, Kafki i Camusa. „I to wszystko przy głęboko zakorzenionych urazach szerokich warstw wobec polskich panów

zarówno w przeszłych stuleciach, jak i krótkim okresie naszej dwudziestowiecznej niepodległości, urazów w części przez nas zawinionych, ale i gorliwie podsycanych przez władzę sowiecką”.

W *Ogrodzie Metternicha* osobny esej został poświęcony obcowaniu z paryską „Kulturą”. Jerzy Giedroyc zdawał sobie sprawę, że pocztowa cenzura radziecka łagodniej traktowała zagraniczne przesyłki kierowane nie do osób prywatnych, lecz do instytucji. Młody Riabczuk pracował w piśmie dzielącym siedzibę z organem Związku Literatów Ukrainy. „Na «Kulturę», a ściślej na jej strony, rzetelnie rozdarte na pół i w ten sposób przygotowane do użytku, trafiłem w ubikacji: odpowiedni format, papier dość dobrej jakości jak na kraj, gdzie przyzwyczajono się obchodzić bez papieru toaletowego (...) Wiedziałem, że wszystkie problemy należy rozwiązywać albo na najwyższym, albo na najniższym szczeblu (...) od razu udałem się do sekretarki i z pomocą pewnych posunięć, nieco korupcyjnych, umówiłem się, że «Kultura» prosto ze skrzynki pocztowej będzie trafiała do mnie – rzekomo przez pomyłkę”.

Dziś promieniowanie kulturalne polszczyzny należy na Ukrainie do przeszłości. Riabczuk sądzi jednak, że potrzeby praktyczne – nauka, praca i interesy – sprawią, że znajomość polskiego na Ukrainie, a nawet ukraińskiego w Polsce, będzie się rozszerzała. W tekście z roku 1997 pytał, kiedy w Ambasadzie RP w Kijowie napisy rosyjskie zostaną zastąpione ukraińskimi. W roku 2007 zanotował, że „kolejny polski ambasador przyzwoczicie mówi po ukraińsku”. Smuci go natomiast rosyjskojęzyczny charakter większości ukraińskich miast. To tam kierują się głównie nielegalni imigranci, których liczba być może przekracza pół miliona. I oni będą się asymilować przez rosyjski, powodując „dalszą marginalizację ludności ukraińskojęzycznej”. Tu

autor pozwala sobie na katastroficzną prognozę, że „za jakieś sto lat na Ukrainie i tak będzie się mówiło tak samo jak w Rosji – czyli po chińsku”. Wypada mi dodać, że mam za sobą rok nauki chińskiego i po 35 latach umiem narysować oraz wypowiedzieć z akcentem pekińskim frazę: „Ja nie jestem Rosjaninem, ja jestem Polakiem”.

Nie mało miejsca w tej książce zajmują opisy upokorzeń spotykających wschodnioeuropejskiego inteligenta ze strony eurobiurokratów. Oto już w naszym tysiącleciu Riabczuk – wykładający na Uniwersytecie w Budapeszcie, dobrze sytuowany materialnie i tłumaczony na parę języków – nie mógł, w przeciwieństwie do swoich kolegów, wybrać się podczas weekendu do Wiednia, Salzburga czy Wenecji. Po wizy odsyłano go do konsulatów w Kijowie. Z tym wszystkim doświadczenia w wrywaniu się w świat, forsowaniu niedomkniętych wrót sprawiły, że poznał Włochy i nauczał w Stanach, a z kolei w Australii zawarł znajomość z poddanym króla Tonga, jedynej monarchii w całej Oceanii.

„– Ukraina – ucieszył się Tongijczyk.

– U nas wszyscy znają Ukrainę. Wasza firma budowała u nas elektrownię wodną na falach przypływu. Nic nie zrobili. Pieniądze wzięli. Zniknęli.

– Oszuści zdarzają się wszędzie – powiedziałem.

– O, tak – brzmiała politycznie poprawna odpowiedź. – Nas jest po prostu bardzo mało. Wszyscy się znają. Dziewięćdziesiąt tysięcy. A was?

– Pięćdziesiąt milionów. Tongijczyk ze współczuciem pokręcił głową”.

Polubiłem eseje Mykoły Riabczuka. Poczuję się do solidarności z nim i jego rodakami.

Andrzej Dobosz

Mykoła Riabczuk, *Ogród Metternicha*, Kolegium Europy Wschodniej im.
Jana Nowaka- Jeziorańskiego, Wrocław 2010.